

gazet
warta

Nr 1/2011

słowo miesiąca:

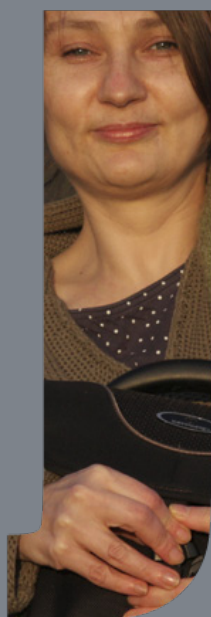
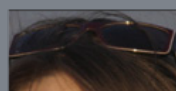
POCZĄTEK

Drogowskazy

*Pistacjowa
Praga*

Zegarmistrz

*Bajka
dla dorosłych*



WYDAWCA

Pistacjatv
produkcja@pistacjatv.com
biuro@pistacjatv.com
www.pistacjatv.com

REDAKTOR NACZELNY

Agata Grabowska
gazetownia@pistacjatv.com

OPRACOWANIE GRAFICZNE I SKŁAD

Agnieszka Maślanka

ZNAK Copyright © Pistacjatv 2011

004 | Nowy początek

006 | Drogowskazy
Mądrze towarzyszyć

010 | Na papierze
Świetlisty przyjaciel

012 | Przewodnik sentymentalny
Pistacjowa Praga

014 | Bajka dla dorosłych
Bajka o początku

016 | Guzik

018 | C.D.N.
Zegarmistrz

022 | Szort mat
Pi

024 | Zawody świata
Pośrednik

028 | Do kina za butelkę wina

029 | Bajki nowe

Nowy Początek

Nie chodzi mi tutaj o nowy album, sympatycznego skądinąd, zespołu Hurt, ale o zjawiska zachodzące w sferze komunikacji społecznej, w tym szeroko pojętej kultury, a kształtowane, czy nawet zdeterminowane przez tak zwane nowe media, Internet w szczególności.

Nowe Media. Na ile rzeczywiście są nowe i co stanowi decydujący wyróżnik owej „nowości”? Nie sposób wskazać na jeden, decydujący element, który byłby satysfakcjonującą odpowiedzią na tak postawione pytanie. Zazwyczaj wskazuje się na interaktywność, komunikowanie obustronne, a właściwie wielostronne. Nie jest to jednak zjawisko całkiem dotąd nieznane, „stare media” także dawały i dają taką możliwość: telefony od widzów i słuchaczy, głosowanie za pośrednictwem sms, czy – wreszcie – znana, właściwie od początku istnienia gazet, instytucja listów do redakcji. To co odróżnia te formy uczestnictwa od możliwości jakie daje Internet – to przede wszystkim zakres i szybkość komunikacji.

To co współcześnie oferują rozmaite fora i portale społecznościowe, nie da się właściwie porównać z niczym co miało miejsce wcześniej. Dopiero dzisiaj możemy mówić o spełnieniu proroctwa McLuhana, jego idea „globalnej wioski”, wtedy gdy powstawała, wydawała się cokolwiek na wyrost, dziś mamy do czynienia z komu-

nikowaniem na naprawdę masową skalę, obejmującym praktycznie cały glob i przebiegającym w czasie rzeczywistym.

Dominującym zjawiskiem tej nowej przestrzeni jest rozmowa. Odnoszę wrażenie, że forma wypowiedzi jaką tu prezentuję, jest już czymś „wczorajszym”, niewłaściwym dla medium, choć oczywiście mam nadzieję, że ten monolog przekształci się w dialog a nawet wielogłosową debatę, do której zapraszam. Internet stał się początkiem odrodzenia komunikacji międzyludzkiej, agorą naszych czasów. Kasandryczne przepowiednie o rozpadzie więzi społecznych, wydają się nieuzasadnione, tworzą się więzi formowane i realizowane inaczej, trudno oczekiwać, że tradycyjne społeczeństwo, w zmieniającym się świecie, będzie trwało w niezmienionej formie.

Niełatwo, na tym etapie, wyrokować na ile dostępność i wielość form komunikacji „przełoży się” na jej jakość? Czy nie będzie to tak, jak w przypadku jednego z naszych władców, o którym mówiono, że choć władza wieloma językami, to w żadnym z nich nie ma nic ciekawego do powiedzenia? Wydaje się jednak, że sam fakt istnienia wielu platform szybkiej komunikacji oraz dostępu do informacji, jest już wartością samą w sobie, w końcu lepiej jest coś mieć niż nie mieć (no może z wyjątkiem pecha i chorób, zwłaszcza niektórych).

Powstała zupełnie nowa sytuacja w kulturze, znacznie poszerzyły się formy uczestnictwa, w tym kreatywnego. Internet stał się przestrzenią publikacji artefaktów, określanych dawniej jako amatorskie, z dziedziny literatury, sztuk plastycznych czy filmu. Coraz bardziej zaawansowane a jednocześnie coraz tańsze techniki cyfrowe, pozwalają na tworzenie i publikację dzieł w stopniu powszechności dotąd niespotykanym. Jedno-



częściej „stare media” stały przed wyzwaniem nieskrępowanej publikacji, co w niektórych przypadkach, wstrząsnęło posadami związanego z nimi biznesu.

Kwestią, wartą osobnego potraktowania, jest rzeczywistość wirtualna. Gry sieciowe w rodzaju „Word of Warcraft” stwarzające nowe, rozbudowane światy, mogą stać się początkiem masowego uczestnictwa w kulturze, sam fakt współtworzenia pewnej rzeczywistości już jest aktem kreacji ale przecież, za pośrednictwem awatarów, możemy wcielać się w postaci artystów, kapłanów czy filozofów, za chwilę powstaną (a być może już istnieją) wirtualne galerie, instalacje czy spektakle teatralne.

Otwierają się rozległe przestrzenie i możliwości, przebieg dalszej ich ewolucji trudno dziś przewidzieć, choć oczywiście można snuć różne przypuszczenia: prawdopodobnie za chwilę nastąpi swoista fuzja portali społecznościowych z komunikatorami w rodzaju skype, co umożliwi pełną, audiowizualną łączność grup społecznych, jakie treści, wartości czy twory będą tą drogą przesyłane? Tego nie można przesądzić, będą one po prostu różne, jak różne są osoby i grupy osób podejmujące interaktywną komunikację.

Proces przechodzenia literatury i czasopiśmiennictwa na elektroniczną formę publikacji, wydaje się przesądzony, nie jest to już kwestia czy w ogóle to nastąpi ale kiedy? Przyczyny tego procesu mają źródła ekonomiczne, zakup specjalnych czytników do E-booków jest wydatkiem jednorazowym, choć nie koniecznym, książki i gazety można ściągać także na PC lub telefony nowej generacji, za to jednostkowa cena produktu jest znacząco niższa i będzie spadała. Nie bez znaczenia jest tu też wątek

ekologiczny: wycinanie drzew, w celu uzyskania nośnika dla słowa pisanego, wydaje się rozwiązaniem tak archaicznym, że aż dziw bierze, że ciągle stosowanym.

Na koniec jeszcze jedna kwestia – żeby nie było zbyt optymistycznie – Nowe Media, Inter-

net, Cyberprzestrzeń, te zjawiska, jak zresztą każde inne, mają też swoją ciemną stronę, są i będą sferą, w której ujawniają się rozmaite patologie, także działalność o charakterze kryminalnym, ze zorganizowaną przestępczością włącznie. Nie wynika to jednak z natury

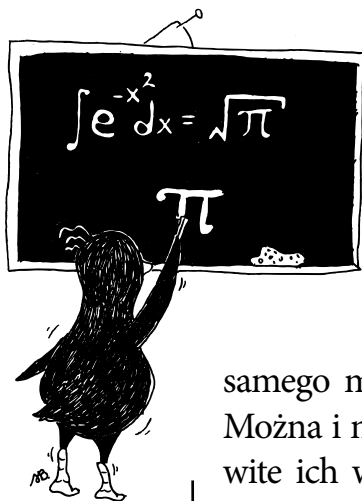
samego medium ale z natury ludzkiej raczej. Można i należy te negatywy ograniczać, całkowite ich wyeliminowanie z pewnością się nie uda. Co do stale nagłaśnianej sprawy uzależnienia, no cóż, uzależnić się można praktycznie od wszystkiego, od zakupów na przykład (czy Panie Wiecie coś o tym?), choć – rzecz jasna – atrakcyjność nowych mediów, możliwości jakie oferują, może stać się źródłem zachowań, które odbieramy jako neurotyczne i niebezpieczne, zarówno dla jednostki jak i dla społeczności.

Nowe narzędzia zawsze wymagają przyswojenia i oswojenia, psychologicznego, społecznego, edukacyjnego, z tą edukacją najbardziej elementarną: wychowaniem rodzinnym.

To kwestia czasu, a i pewnie konkretnych rozwiązań prawnych czy organizacyjnych, żywię jednak nadzieję, że pozytywne aspekty przeważają i nie zmarnujemy ani nie rozmielimy na drobne szansy jakie się przed nami otwierają.

Z pozdrowieniami i w nadziei na opinie Państwa.

Aneta Begin



drogowskazy

Mądrze towarzyszyć

Rozmowa z Hanną Wieloch, terapeutką, doradcą zawodowym, trenerką rozwoju osobistego z ponad dwudziestoletnim stażem. O tym, jak rozmawiać z dziećmi o ich pasjach i zachęcać je do budowania swoich ścieżek zawodowych.

Carol Wolff: Jak odkryć predyspozycje? I kto powinien to zrobić?

Hanna Wieloch: Jak się jest małym, to się nie planuje swojej ścieżki zawodowej, więc sędzę, że raczej rodzic ma tutaj znaczną rolę do spełnienia, jako ten, który prezentuje dziecku różne możliwości. Pokazuje, że jest na przykład balet i jeśli dziecko chce na niego chodzić to dobrze. Jest wiele dziedzin aktywności życiowej, jedno dziecko będzie spełniało się w rysunku, czy muzyce, inne będzie czerpało przyjemność z budowania mostów z klocków.

Jest wiele możliwości, które należy dziecku pokazać i wiele zawodów, o których warto opowiadać. Dziecko trzeba wspierać, ale nie ciągnąć na siłę, dlatego tak ważne jest, aby je obserwować. Mądrze towarzyszyć.

W późniejszym wieku robią to doradcy zawodowi, ale kiedy jesteśmy mali, rodzice w ciekawy i przystępny dla dziecka sposób mogą opowiadać np. co robi cukiernik, a co robi księgowy.

A później w przedszkolu i szkole podstawowej rozszerzeniem tej wiedzy powinni zająć się wychowawcy i opowiadać o wyborze swojej ścieżki zawodowej, jako o pewnym poszukiwaniu.

W którym momencie Pani zdaniem powinien włączyć się doradca zawodowy?

Uważam, że warsztaty wyboru studiów w powiązaniu ze ścieżką kariery powinny się odbywać od I klasy szkoły średniej. Dorosli powinni pokazywać, że wybór zawodu jest ważną i ciekawą przygodą. I tego właśnie młodym ludziom brakuje. Brałam kiedyś udział w projekcie unijnym, gdzie pracowało się z Dorosłymi Dziećmi Alkoholików i najbardziej przejmujący dla mnie, jako doradcy zawodowego, był fakt, że ci młodzi ludzie w ogóle nie brali pod uwagę, że mogą mieć pracę związaną z tym co lubią i ze swoimi marzeniami. Te dzieci były akurat z rodzin, w których nie dba się za bardzo o ich potrzeby, ale takie podejście do przyszłego zawodu wydaje mi się nagminne.

Dlaczego tak jest?

Nie poświęcamy naszym wyborom należytej uwagi w odpowiednim momencie. Kierujemy się raczej prestiżem szkoły, nakazem rodziców, albo tym, że idą tam znajomi. Nie zastanawiamy się, czy ta szkoła umożliwi nam robienie tego, co chcemy. I rodzice też się nie zastanawiają, posyłając dziecko do danej szkoły, uważanej za dobrą.

Kiedy pracowałam w liceum jako pedagog szkolny, miałam bardzo dużo przypadków niedopasowania młodego człowieka do tego typu szkoły i konfliktu z rodzicami na tym tle.

Pamiętam jednego chłopaka, który był z dobrej rodziny, obydwój rodzice byli prawnikami i chcieli, żeby on kontynuował rodzinne tradycje. A on z całego serca chciał być kucharzem. Notorycznie odwiedzał mój gabinet, opowiadał o swojej pasji do gotowania i o tym, że rodzice nie chcą się zgodzić, żeby nie poszedł na studia, tylko do pomaturalnej szkoły gastronomicznej.

Bo to poniżej oczekiwanej pozycji społecznej?

Tak. Dorośli bardzo często wchodzą w te ramy społeczne: dobra szkoła, studia, pozycja społeczna. I tu znowu wychodzi to, że o zawodach się nie rozmawia. Bo jak byśmy o tym mówili, to byśmy też pokazywali, że dajemy przyzwolenie na swobodę poszukiwań.

Czasami jest tak, że dziecko czymś się znudzi.

Bo czasem coś go po prostu nie interesuje, a czasem ma po prostu kryzys, jak my wszyscy i wtedy dając wsparcie można takie zainteresowanie ocalić i kryzys przezwyciężyć.

I to jest właśnie miejsce dla mądrego towarzyszenia. Często rozmawiając z osobami, które odniosły sukces słyszę, że były zmęczone, nie chciały już dalej ćwiczyć, za oknem dzieci grały w piłkę. I tu właśnie pojawił się ten rodzic, który dostrzegł, że jednak jest talent i jest nadal serce do danej czynności i dziecko mobilizował. Bo bez pracowitości sukcesu się nie odniesie. Potem, w rezultacie, dziecko było mu wdzięczne. Jednak podkreślam, że dotyczy to tych dzieci, u których są autentyczne, potwierdzone zdolności i chęci, a nie tylko chęci rodzica. Bo w takim przypadku lepiej, żeby dziecko nie ćwiczyło i spróbowało w tym czasie czegoś innego.

Jeśli więc wystąpi kryzys: jak długo walczymy, a kiedy odpuszczamy?

Tego nie powiem, bo to sprawa indywidualna. Natomiast z takim dzieckiem trzeba po prostu być i o jego pasji trzeba rozmawiać. Bo nie może być tak, że zapisujemy dziecko na jakieś zajęcia i ono jest pozostawione



same sobie, a my jesteśmy zadowoleni, że się rozwija. Musimy badać czy je to interesuje, w razie potrzeby pokazać, że są też inne rzeczy. Pozwolić szukać.

Panuje moda na zajęcia pozalekcyjne. Czy nie jest trochę tak, że rodzice wpadli w szal zapisywania po omacku na wszelkiego rodzaju zajęcia dodatkowe? Jadłam kiedyś w Tokio kolację z moim przyjacielem Japończykiem i jego synem, zmuszonym przez ojca do uczestniczenia ze względu na szansę porozmawiania po angielsku z obcokrajowcem. Na moje pytanie co lubi robić po szkole, w wolnym czasie, chłopiec z niemałym trudem wydukał, że najbardziej lubi być w domu przed 22:00. Wydaje mi się, że u nas, nie na taką skalę, ale takie zjawisko też ma miejsce. Dzieci są przemęczone. Zajęć pozalekcyjnych przybywa, a niekoniecznie przybywa zadowolenia i umiejętności.

To jest bardzo smutne. I sądzę, że u nas też tak w pewnym sensie jest. Partycypowanie w tych zajęciach staje się mechaniczne. Brakuje refleksji czy te zajęcia rzeczywiście są dla tego dziecka i co mu dają. Nie można skonsumować zbyt wielu rzeczy na raz i dziecko musi mieć czas też na pobyty w domu, zabawę i poobijanie się wśród bliskich.

Czy to mechaniczne zapisywanie dzieci na zajęcia pozalekcyjne, może być też wyrazem pewnego kryzysu relacji rodzic – dziecko? Taki rodzic przestaje być osobą, która pokazuje świat i płaci za to, żeby zajęli się tym inni?

To na pewno jest znak naszych czasów. Posyłam na zajęcia, więc mam czyste sumienie, że dziecko się rozwija, a ja jestem super rodzicem. Wiadomo, że nie jesteśmy w stanie pokazać dziecku wszystkiego i czasem potrzebujemy specjalistów. Natomiast nie może być tak, a bardzo często jest, że się o tych zajęciach nie rozmawia. Jeśli posyłamy dziecko na jakieś zajęcia, to potem pytamy: co ty na tych zajęciach robisz, czy tobie się to podoba? Proponujemy, aby dzieliło się z nami zdobytą wiedzą: pokaż, a może razem to zrobimy, podziel się. I dopiero po tym poznajemy, na ile to jest dla tego dziecka ważne i trafione. Taka sytuacja znowu uczy dzieci dokonywania wolnych wyborów. Bo o tych wyborach też trzeba z bliskimi rozmawiać. Niestety często jest tak, że bliscy od razu wtłaczają nas w jakieś ramy.

Jak często rodzice ingerują w wybory dzieci, czyli jak często studiujemy dla kogoś i jak się przed tym bronić?

Bardzo często. Relacje z bliskimi cechuje zawsze pewien rodzaj zagmatwania.

Nie tylko, jeśli chodzi o wybór drogi zawodowej.



Te nitki wzajemnych relacji są na tyle poplątane, że często sami nie wiemy, czy realizujemy własny pomysł, czy czyjś. Szczególnie jeśli jesteśmy osobą w danej relacji uzależnioną ekonomicznie: dzieckiem, niepracującą matką. Wtedy ten, kto zapewnia nam byt, często decyduje za nas. I nie zawsze możemy taką relację opuścić. Dlatego tak ważne jest, aby dotrzeć do tego, co ja chcę robić, co dla mnie jest ważne. I za tym stanąć.

Spotkałam wiele osób, które poszły do renomowanych szkół tylko dlatego, że skończyło je ich rodzeństwo. I chociaż na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest to szkoła dla nich i że się w niej nie odnajdują, rodzice nie mogli się pogodzić z ewentualnością zabrania dziecka z takiej dobrej placówki. Dopiero gdy pojawiały się problemy, albo groziło dziecku nie zdanie, zabierali je do innej, gdzie dziecko rozkwitało. Często wynika to z tego, że nie chcemy oddać kontroli. Mówimy: szukaj, ale mamy na myśli – szukaj w granicach, które ja wyznaczam. Nie do końca ufamy w to, że dziecko podejmie dobre dla siebie decyzje, przecież jesteśmy starsi i bardziej doświadczeni.

Od dwudziestu lat rozmawiam z ludźmi o ich wyborach zawodowych i mogę ich podzielić tylko na dwie kategorie. Nie ze względu na szkoły, które pokończyli, ale na tych, którzy kochają swoją pracę i czerpią z niej satysfakcję i na tych, którzy są w swojej pracy nieszczęśliwi. Jak hydraulik z powołania, który jest rozchwytywany, bo zna się na swojej pracy i ma do niej serce i profesor, który nienawidzi studentów, a codziennie wyklada.

Czy my sami nie nakręcamy się na to, co rodzice kiedyś powiedzieli i twierdzimy, że musimy coś robić, jacyś być, bo oni sobie tego życzą? Np. ja myślę, że mój ojciec chciałby, żebym była lekarką, i marnuję szereg lat na studiowanie medycyny, a on nagle przychodzi i mówi, że nigdy tego nie chciał, chciał tylko żebym była szczęśliwa i jeśli chcę być tancerką, to żebym była tancerką.

Myślę, że w środku siedzi postać, która mówi: bądź lekarką. I ona nie wzięła się znikąd. Musiał wyjść jakiś sygnał podprogowy, jakie są oczekiwania rodzica. On też nie musi sobie uświadamiać, że taki sygnał wysłał. Co więcej, zazwyczaj jest tak, że im bardziej dany sygnał jest dla nas ukryty, tym bardziej, paradoksalnie, dla dziecka staje się wyrazisty. Dochodzi do sytuacji rozdźwięku, między tym, co deklarujemy, a tym, co pokazujemy. W takim młodym człowieku dane wzorce są wzmacniane przez samą obserwację. Ojciec nie musi mówić: bądź lekarką. Wystarczy, że mówi: ja jestem lekarzem, mnie się udało, odniosłem sukces. Dziecko koduje sobie komunikat: lekarz = sukces. Na temat tancerki nie koduje takiego komunikatu.

Ale czy nie jest tak, że trochę spychamy odpowiedzialność za własną nieudolność na rodziców? Brak naszej konsekwencji w realizacji marzeń i zawalczenia o siebie tłumaczymy tym, że to rodzice stali na przeszkodzie?

Na pewno. To już wprawdzie dotyczy trochę późniejszej sytuacji, kiedy czegoś już próbowaliśmy i z różnych względów nie wyszło. Z powodu naszych lęków, problemów, braku uporu, innych okoliczności. I tu nie możemy nie wziąć odpowiedzialności za własne decyzje. Zwalanie winy na innych nie posunie nas w naszej drodze do przodu, i co więcej, po prostu nie jest prawdą: bo poza wczesnym dzieciństwem jednak to my dokonujemy wyborów. Pod czyjeś dyktando lub nie. Chciałabym, abyśmy o tym pamiętali.

Pani Hanno, dziękuję bardzo za rozmowę, a czytelników zachęcam do śledzenia naszych kolejnych spotkań poświęconych zagadnieniu pracy na różnych etapach życia. Za miesiąc rozmawiać będziemy o polskich absolwentach i trudnej sztuce autoprezentacji. Zapraszam serdecznie.

CW

Świetlisty przyjaciel

Kiedy byłem przedszkolakiem, mój świat liczbowy kończył się na dziesiątym palcu. Nie potrafiłem przeprowadzić statystyki moich przyjaciół. A było ich tak dużo, jak ustawień szkiełek w kalejdoskopie. Sytuacje podwórkowe często prowadziły do krótkotrwałych wojen, ale przyjacielski kalejdoskop sprawiał, że nie odczuwałem rozpaczy z ich powodu. W podstawówce moja wiedza była już na tyle szeroka, że potrafiłem przyjaciół zliczyć. Nie robiłem tego z czystego lenistwa, a ponieważ kalejdoskop dalej sprawdzał się w życiu, kontynuowałem swoją drogę. I tak minęły 33 lata. Pewnej sierpniowej nocy, siedząc z przyjaciółmi w pubie, dostałem od jednego w pysk. W moich żyłach płynęło sporo piwa, ale nie było to nic nadzwyczajnego. Mając tylu przyjaciół pub stał się moim drugim domem. Nie wiem, czy cios wymierzony w moją szczękę sprawił mi ból fizyczny, czy raczej psychiczny. Nie pamiętam, czy wymierzyłem cios w drugą stronę, czy moje przesiąknięte piwem ciało po prostu zebrało się w kupę i wyniosło na świeże powietrze. Tam wykonałem jakiś taniec uliczny i zakończyłem go padem na brukową ulicę niedaleko kościoła. Wibrujący, koszmarny nadmiar dźwięków spowodował, że otworzyłem oczy. To zegar na kościelnej wieży, pozytywkową melodyjką obwieszczał początek dnia. Kiedy umilkł, zapanowała cudowna cisza. Była tak błoga, że postanowiłem jeszcze na chwilę wtulić się w krawężnik. Nie zrobiłem tego. Świetlista kula na błękitnym niebie wpatrywała

się we mnie tak beczelnie, że krzyknąłem:

-Co się gapisz!

A ona zamiast spuścić ze mnie wzrok, rozłożyła ramiona wcześniej skrzętnie ukryte i zaczęła mnie nimi szturchać. Zakrywałem się dłońmi, ale to nie pomagało. W końcu schowała ramiona, a ja dostrzegłem zaschniętą krew, poszarpane ubranie i oblepione jakimś świństwem buty. Nie byłem już sam. Na gałęzi siedział i ćwierkał jakiś poranny ptak. Zrobiło mi się smutno i zacząłem płakać. Wtedy znowu spojrzała na mnie kula, ale wydawało mi się, że nieco życzliwiej. Objęła mnie i pomogła wstać. Przeszliśmy razem parę przecznic, aż doszliśmy do głównej ulicy, gdzie tramwaje zabierały pierwszych pasażerów. Odczuwałem pragnienie na tyle uciążliwe, że ucieszył mnie widok otwartego sklepu. Spojrzałem na kulę, bo chciałem dać jej znać żeby na mnie poczekała. Kupienie piwka nie potrwa długo. Wtedy ona przemówiła:

-Nie rób tego.

-Czego? - Zapytałem.

-Balansujesz nad przepaścią, a niewiele ci już balastu zostało.

-Jedno piwo. Chcę tylko jedno. Rozumiesz?

Najwidoczniej musiałem przy tym machać rękoma, bo jakiś mężczyzna złapał mnie za fraki i wypchnął z wejścia do sklepu. Kula zniknęła. Byłem wściekły i chciało mi się siku. Już miałem za rogiem rozpiąć rozporek, kiedy zorientowałem się, że mam dwa kroki do domu. Potraktowali mnie jak jakiegoś pijaka, żebraka. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że mój portfel dawno był w innych rękach. Z mojej bramy wychodziła kobieta

z dzieckiem. Nie bardzo kojarzyłem czy jest z mojej klatki, więc chcąc być miły powiedziałem dzień dobry. Kobieta ominęła mnie wielkim łukiem i nie odpowiedziała ani słowa. Kula pojawiła się znowu i w kółko powtarzała:

-Nie masz balastu.

Nie wytrzymałem.
Wrzasnąłem.

-Odczep się!

Trzaskając drzwiami wszedłem na klatkę schodową.

Winda nie działała. Było ciężko, ale dotarłem do swoich drzwi i odnalazłem do nich klucz. Na szczęście kran działał i po odkręceniu poleciała woda. Piłem na przemian obmywając twarz. W wąskim kuchennym okienku pojawiła się kula. Zasłoniłem zasłonę, ale po chwili odsłoniłem ją z powrotem, a nawet otworzyłem okno. Usłyszałem:

-Hej! Dzień dobry. Nie wiem, czy nie zapomniałeś, ale masz łazienkę. Nie zerkaj w lustro, kiedy będziesz szedł korytarzem.

Jakim prawem ona mi mówi, co mam robić a co nie. Poszedłem w stronę łazienki i zatrzymałem się przed lustrem. Spojrzałem raz, drugi, trzeci.

Ściągnąłem lnianą kurtkę, potem koszulę. Było nieco lepiej. Pozbyłem się spodni, w których dopiero teraz dostrzegłem brak portfela. Przed lustrem stał Tomek, tak jak stworzył go Bóg. Jedynie slipki przypominały o moim związku z materialnym światem. Uświadomiłem sobie, że mój kalejdoskop już dawno gdzieś przepadł, a ja wciąż kieruje się dziecinnymi zasadami.

Od dziesięciu lat, przy piwie wciąż opowiadam te same historie, słucham tych samych historii i zmieniam przyjaciół do kufla. Zrobiło mi się

zimno, więc wszedłem do łazienki i wziąłem gorący prysznic. Był bardzo gorący. Cała łazienka pokryła się rosą. Owinięty w ręcznik otworzyłem łazienkowy lufcik, by nadmiar wilgoci znalazł swoje ujście, a tam uśmiechnięta kula

machała ramionami. Milczała. Ja też. Zwróciłem się w stronę lustra i zacząłem golić. Nakładając piankę na twarz, próbowałem zliczyć moich przyjaciół. Nie było żadnych przeszkód. Umieję już liczyć. Nie wiedząc, czemu odwróciłem się znowu w stronę kuli i zapytałem.

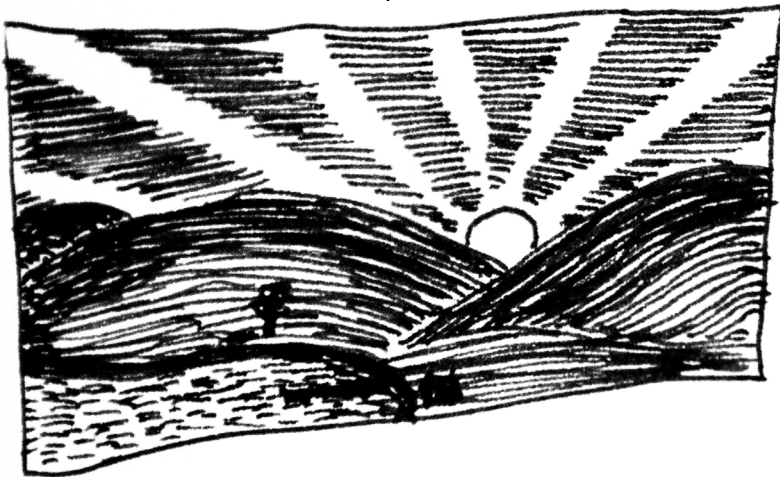
-Co to znaczy przyjaciel ?

Ale kula milczała. Odpowiedziałem sobie sam.

-To ktoś taki, kto potrafi powiedzieć, że postępujesz jak głupiec i ktoś taki, kogo martwi i cieszy twoje życie. Nie mam przyjaciół. Oprócz ciebie – dodałem patrząc na słońce.

A wtedy słońce wyciągnęło swoje ramię, jakby chciało dać mi znać, że sam muszę się ze sobą zaprzyjaźnić. Uniosłem wysoko ręce, wziąłem głęboki oddech i zaprosiłem je na spacer i kawę. Od października świetlisty przyjaciel odwiedzał mnie coraz rzadziej. To nie był łatwy rok, ale się udało. Odnalazłem w sobie prawdziwego przyjaciela.

Gabi Eliott



Pistacjowa Praga

Kelner z nonszalanckim ukłonem postawił przed Agnieszką puchar pistacjowych lodów. Zgarnęła na bok okruchy czekolady i zanim doniosła łyżeczkę do ust pojawiło się wspomnienie. . . Poczuła ulotny, delikatny smak starej Czeskiej Pragi.. Hradczan.. Złotej Uliczki. Zwykle lody zadziały jak proustowskie magdalenki Cioci Leonii.. Czas cofnął się o ćwierć wieku...

Rodzinna, letnia wycieczka. Tata przystojny i młody, mama taka piękna w słonecznie żółtej sukience, rodzeństwo skupione na utrzymaniu równowagi na wąskim krawężniku. Agnieszka miała wtedy 13 lat, a Praga była przede wszystkim zagranicą. Zapierające dech w piersiach miasto klimatycznych, kolorowych kamieniczek, którego centrum stanowił kamienny most. Jego 520m długości wtedy wydawało się nie mieć końca. Trzymając się z siostrą za ręce co kilka kroków potykały się, lub przeskakiwały wyciągnięte nogi rysowników, malarzy i karykaturzystów przed ich galeriami. Rodzice starali się zainteresować dzieci kamiennymi figurami świętych, opowiadając m.in. historię Jana Nepomucena. Właśnie z tego mostu wrzucono

go do rzeki na rozkaz króla Wacława IV, bo nie chciał wyjawiać tajemnicy spowiedzi jego żony, królowej Zofii, ale udawało się to tylko na chwilę. Bardziej je wtedy interesował leniwy nurt Wełtawy i poznawany właśnie smak pistacjowych lodów. Beztrosko ganiały się między straganami pełnymi pamiątek i chichocząc pokazywały sobie młodego chłopca, który z zachwytem w oczach odprowadzał wzrokiem ich mamę.

Za mostem przywitały ich Hradczany, najstarsza, najsłynniejsza i najlepiej zachowana dzielnica Pragi. Tu wszystko było jak zaczarowane. Od mieszanki stylów kręciło się w głowie. Niezwykle mała i wąska Złota Uliczka z mikroskopijnymi, bajkowymi domkami, śpiewająca fontanna w Ogrodzie Królewskim i gigantyczny kompleks zamkowy, który nadał nazwę całemu wzgórzu. Wszystko budziło nie-me „wow”. Górująca nad wszystkim wieża Katedry św. Wita zdawała się przebijać niebo. Nie było tyle miejsca, żeby można było się cofnąć i objąć ją wzrokiem. Stali z wysoko zadartymi głowami, a zapomniane na chwilę lody spływały zielonkawymi strużkami aż do łokci. Chociaż urzekała Agnieszkę niezwykłość miejsc, nie do końca rozumiała ten historyczny spektakl rozgrywający się przed jej oczami. Wszystko odbierała zmysłami dziecka. Złota Brama z bezcenną mozaiką przedstawiającą scenę Sądu Ostatecznego była

tylko piękną bramą, w witrażach najbardziej zachwycało słońce igrające w kolorowych szybkach, królewskie insygnia robiły wrażenie o tyle, o ile mogła sobie wyobrazić siebie w nich jako królową, w strojnej sukni, obwieszoną klejnotami, a krypty... tam mocno trzymała mamę za rękę, podczas gdy rodzeństwo oblegało tatę. Nawet brat, który zawsze miał na podorędziu kilka mrozących krew w żyłach opowieści o duchach i wampirach, szedł na palcach i starał się nie zostać ani kroku z tyłu.

Był jeszcze monumentalny Kościół Panny Marii z wieżami nakrytymi hełmami, najstarsza praska katedra, czyli Bazylika św. Jerzego zbudowana ok. 915r, zegar ratuszowy z figurkami apostołów, które co godzina ukazywały się w okienkach i Brama Prochowa ze swoimi alchemickimi tajemnicami. Ogrom wrażeń wyczerpał ją całkowicie. Chociaż w drodze powrotnej miała plamy na ulubio-

nej sukience, a na umęczonych nogach tylko skarpetki, to buzia jaśniała radością i szczęściem. Nie miała pojęcia, że tego dnia narodziła się jej pasja na całe życie.

Po latach wróciła tam znowu. Poważna studentka historii sztuki w eleganckim kostiumie i butach na wysokich obcasach. Ze świadomością historycznej wartości tych miejsc i głową przepelnioną książkowymi opracowaniami. Z pełną świadomością oddychała tą niepowtarzalną atmosferą. Wszystkie zabytki miały swoje nazwy i nabrały właściwego kształtu. Do dziś wie kto to Alfons Mucha, potrafi nazwać style architektoniczne, zna zasługi i wiele ciekawostek z życia ludzi pochowanych w mauzoleum cesarskim, czy w krypcie królewskiej. Umie opowiedzieć i uwiarygodnić konkretnymi datami wiele historii i legend na temat kamiennych posągów na Moście Karola...

Ale prawdziwa Praga to dla Agnieszki już na zawsze będzie spacer boso po rozgrzanym bruku, wielki jak talerz kotlet schabowy na Dworcu Głównym...żółta sukienka jej mamy i smak pistacjowych lodów..

Agata Grabowska





Bajka dla dorosłych

Początek

To nie jest skomplikowana historia. Mimo braku głównego bohatera, zakończenia i początku.

To prosta historia, choć nie przypomina rzeki, która ma swoje źródło i ujście. Bardziej kojarzyć się może z oceanem, którego w jednym miejscu piękna piaszczysta plaża, a w innym strome urwiste skały zamykają bezmiar wód.

To bardzo prosta przypowieść o końcu i początku. Właśnie w tej kolejności. Koniec może kryć bowiem zalążek czegoś nowego. Przy odrobinie dobrej woli można więc o końcu przestać pamiętać, czasem wręcz trzeba o nim zapomnieć. Z tej perspektywy jest to historia o ciągłym zaczynaniu.

Przywołane tu chwile, jak też chwile tu nie opisane bywają bardzo bolesne. Ale ból ustępuje. A kiedy opada, kiedy łagodnieje na tyle, że można już swobodnie oddychać, historia zaczyna się od nowa. Powoli rodzi się nadzieja. Wiara, że kolejna odsłona będzie lepsza, bo bardziej przemyślana, poprzedzona bólem kończenia się. Bogata w doświadczenia z przeszłości, które pozwolą uniknąć starych błędów.

Ostatnie słowa, które od niej usłyszał były pełne goryczy i żalu. Nigdy wcześniej tak nie mówiła, nie miała odwagi, w ogóle się nie odzywała. I odeszła. Bała się tej władzy, którą nad nią zdobył. Tej kontroli, którą posiadał. Tego, że czuła się przy nim bezwolna, bezwartościowa

i słaba, zwykle popychadło. Pierwsze dni, spędzone gdzieś kątem u przyjaciół były przedsionkiem piekła. Tak musi tam właśnie wyglądać, myślała. Chciała wrócić chyba ze sto razy. Chwytała za telefon, siadała przed komputerem, ale zaciskała zęby i odkładała słuchawkę, wychodziła z poczty. Po tygodniu coś w niej pękło. Coś w niej szeptało, że zadzwonić powinna, że teraz potrafi już spokojnie wyjaśnić, że on na pewno wiele przez ten tydzień zrozumiał, że coś się zmieniło. Odebrała kobieta. Cóż... Zdobyła się na wzruszenie ramion, ale łzy pociekły jak struga. Przerwała połączenie. Położyła się. Zupełnie pusta w środku. Długo leżała, potem długo nie chciała wyjść z domu. Snuła się jak cień, bez duszy, bez celu. Wreszcie wyszła. Pod wieczór. Liczyła, że nikogo nie spotka na pustych ulicach. A jednak. To był jej kolega jeszcze ze szkoły. Spojrzał w jej puste oczy, zapytał co teraz robi. Poradził by zajrzała do jego dawnej firmy, podobno szukają kogoś z jej wykształceniem. Było jej tak bardzo wszystko jedno, mimo to poszła. Spodobała się jej szczerość, gotowość do ciężkiej pracy, powaga. Dostała ją. Po paru miesiącach doceniono jej zaangażowanie. Poczowała satysfakcję, a potem coś jakby radość. Dziś umawia się z mężczyzną, który też jest w firmie nowy. Bardzo jej pomógł na początku, potem gdy zachorowała jego matka, to ona mu bardzo pomogła. Myślę, że on ją kocha,

a jeśli ona sobie w końcu na to pozwoli, to też go pokocha. Jeszcze nie jest na to gotowa, ale wszystko jest na dobrej drodze, bo z dnia na dzień staje się silniejsza i odzyskuje sens życia. Nigdy wcześniej nie była taka pewna siebie.

To był paskudny początek wiosny, zima nie dawała za wygraną. Któregoś wieczora, kiedy prawie już spała, wpadł do domu jak błyskawica, ścisnął ją i całował. Szczęśliwy, dumny, spełniony, pełen nadziei. Awansował. Tak się cieszyli... Urządzili trzy imprezy dla znajomych, kilka razy świętowali sami przy winie i deserze. Potem wiosna zawitała na dobre, tylko oni tego już nie zauważyli. On zawsze do późna w pracy, ona najpierw sama przed telewizorem, wreszcie gdzieś na jakimś forum, odkryła nowe możliwości... Rozstali się kulturalnie. Ona mu wysłała maila. On jej SMS. On miał perspektywy. Ona zdobyła nowe znajomości. Nie planowali rozwodu, tyle się wokół działo... Minęło lato. Jesienią jego firma wpadła w problemy finansowe, a ona nie odnalazła tej bliskości, którą miała wcześniej i poczuła pustkę. Zima była naprawdę trudna. Wiosną spotkali się przypadkiem, zatęsknili mocniej. A potem myśleli już tylko o tym, jak do siebie wrócić. Poszli nawet do terapeuty (bo to takie modne), ale to było nieporozumienie. Wyszli z gabinetu wściekli, ale za chwilę już się z tego śmiali, razem. Postanowili zacząć od nowa, mądrzej, kompromisowo. Nie wiem, czy im się uda, ale trzymam kciuki. Słyszałam, że zapisali się na jakieś kursy, że spędzają dużo czasu razem i rzadziej zapraszają znajomych. Jak nigdy wcześniej.

Uspokajała ją kilka godzin. Tulila, kołysała. Siłą położyła do łóżka. Wyrzuciła wszystkie tabletki do kosza. Czuwała przez całą noc. Nad ranem on wrócił. Zdziwił się, że nie jest sama, że śpi, że nie czeka we łzach. Próbował uniknąć przykrej rozmowy przy obcej. Kim ona jest, że go ocenia? Bagatelizował, nie dostrzegając problemu. Dopiero jak mu pokazała zawartość kubła, trochę oprzytomniał. Długo mówiła, przekonywała. Początkowo wypierał się. Przecież należy mu się chyba trochę rozrywki? To nic ważnego. Jego sprawa. O co jej chodzi? Najpierw zrozumiał, że to co wydawało się takie pewne, mógłby stracić nieodwracalnie. Potem zaczął się zastanawiać, ile to dla niego jest warte? Jaka jest wartość tej stabilizacji, spokoju, pewności, przywiązania, łagodności, tego słodkiego uśmiechu, jak uśmiech dziecka... Bardzo się rozczulił, ale głównie nad sobą. Wreszcie zaczęło również do niego docierać, że pieniądze, to jeszcze za mało, żeby jej nie szanować. To było trudne. Zmiana priorytetów, przewartościowanie. Nie oszukujmy się, tamtego ranka jeszcze tego wszystkiego nie widział całkiem jasno, ale po czasie chyba do niego dotarło. Musiało dotrzeć, bo naprawdę się zmienił. Ona nie wybaczyła mu od razu. Bardzo chciała, ale tamtej nocy coś straciła. Niełatwo było to odzyskać, odszukać w sobie. Ale on bardzo się starał, nie przestawał, przysyłał kwiaty. Całkowicie odtajała dopiero, gdy zaczął wysyłać jej wiersze (na szczęście nie swoje). Przypomniała sobie tamto uczucie. Rozczuliła się, najpierw nad nim, potem nad sobą.





Przeplakali wtedy cały wieczór. Teraz, zawsze gdy pogoda na to pozwala, siadają na tarasie i długo rozmawiają, analizują, snują plany, potem całują się... Czasem zaczyna padać, a oni jeszcze tam siedzą. Sąsiedzi uważają, że zwariowali. Myślę, że jest odwrotnie.

Kiedy słyszę takie opowieści, utwierdzam się w przekonaniu, że zamykając jedne drzwi, jednocześnie otwieram drugie. Wierzę przy tym, że smutek jest

niczym zima, która po odpowiednim czasie ustępuje miejsca wiosnie. By tego doświadczyć nie trzeba topić Marzanny. Wystarczy oddzielić rzeczy wartościowe od tych mało ważnych. Dostrzec załączek całkiem nowej opowieści. W nowej historii pojawić się mogą nowe problemy, ale nawet jeśli, to zjawi się też nowa nadzieja na kolejny początek.

Kasia Puchalska

Guzik

Świat pędzi w niezwykłym tempie, a guzik wciąż jest guzikiem. Jako dzieci graliśmy w guziki, a większość z nas nie jeden raz łapała za guzik na widok kominiarza...

Guziki fascynują i kryją w sobie tajemnice osób, które je nosiły, guziki tworzyły historie.

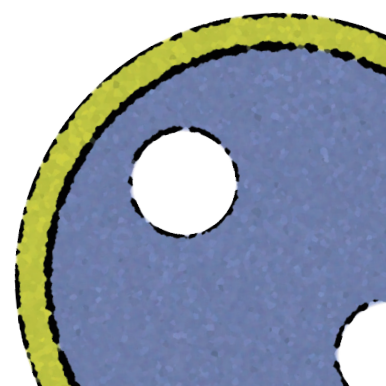
Kiedy rozpoczęła się guzikowa historia...

...W starożytności do spinania ubrań używano fibuł, w średniowiecznej Europie królowały haftki, spinki i wstążki, ale już w XIV pojawiają się we Francji pozłacane guziki. Były ozdobne, drogie i przeznaczone dla najbogatszych. Wyznaczały status społeczny i bardziej stanowiły ozdobę niż praktyczny przedmiot. Prosty lud zadowalał się guzikami z drewna lub kości, nieraz był to po prostu kawałek patyka lub kolorowa zaplątana nitka.

Wśród szlachty i arystokracji liczył się guz ozdobny. Gdy w 1520 roku król Francji Franciszek I wybierał się na spotkanie z Henrykiem VIII Tudorem miał na sobie szatę ozdobioną ponad trzynastoma tysiącami guzów! Z kolei z inwentarza dobytku Marii Stuart dowiadujemy się, że miała czterysta guzików emaliowanych, każdy z rubinem pośrodku.

Guzikami zainteresował się Kościół, dając do zrozumienia, że przesada w guzikomanii wiedzie do piekła co odbiło się echem w tradycji amerykańskich amiszów, którzy nie uznają guzików, ponieważ są dla nich przejawem dumy i pychy.

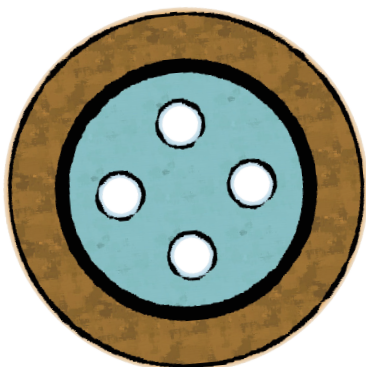
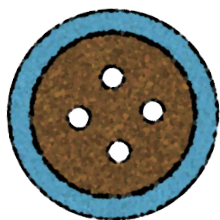
Co miało pewne uzasadnienie, bo ozdobny guz kosztował. W Polsce przeciętny szlachcic



miał z reguły komplet kilkunastu guzów, które przesywał ze stroju letniego na zimowy. Ich wzór zależał od aktualnej mody. W XVII wieku obowiązywały guzy w kształcie owocu dzikiej róży. Guzy bywały również ażurowe – nazywano je wtedy „durch brecherowane”. Stosowano także granulację (zdobienie kuleczkami złota lub srebra). Jako że przedmioty takie były bardzo cenne, oprócz oryginału posiadano kopię, zrobioną z mosiądzu. Gdy szlachcic wyruszał na wojnę, przesywał na ubranie „tani odpowiednik”.

W połowie XVIII wieku rozwinęła się produkcja „zwykłych” guzów w specjalistycznych manufakturach. Produkowały one dwa rodzaje guzików (do dziś spotykane): z uszkami i z otworami. Te z uszkami robiono z cyny czy ołowiu. Oprócz guzików z metalu, kości słoniowej czy rogu były też z materiału. Tkaninę naciągano na drewniane i kościane tarczki. Z czasem wzory stały się bardziej dekoracyjne.

Tarczki zastępowano wtedy drewnianymi lub metalowymi pierścieniami, dzięki czemu można było też na nich dziergać koronki.



Guziki z materiału na metalowym kółku masowo zaczął produkować brytyjski wytwórca B. Saunders i dzięki niemu Birmingham stało się stolicą guzikarstwa.

Guzik stał się cennym rekwizytem dla wojska. Od XVIII w. pojawiły się guziki, które nie tylko spinały ubranie, ale też informowały, do jakiej jednostki należy żołnierz i jaki ma stopień.

Banalny z pozoru guzik szybko stał się obiektem zainteresowania kolekcjonerów. Opinię, że zbieranie guzików jest pożyteczne, z pewnością i dziś podziela ogromna rzesza fascynatów tego prostego przedmiotu. Co prawda mówi się, że kto zbiera guziki, ten guzik ma ale kolekcjonerzy odpowiadają na to jednogłośnie: guzik prawda!

Guzik może także służyć do zabawy. Muzeum Guzików z Wielkopolski i Towarzystwo Miłośników Gier Guzikowych od lat organizuje Mistrzostwa Świata w Piłce Guzikowej, co wiąże się z niemałymi emocjami...

Monika Krzyżanowska

Zegarmistrz

Panie Zegarmistrzu, czy ktoś zwraca się do Pana po imieniu?

Zegarmistrzów jest mniej niż Józków.

A więc jednak ma pan imię.

Koniec wywiadu?

Nie, tylko zastanawiam się czy pana żona zwracała się też do pana Zegarmistrz i zastanawiałam się, jak Pan się przedstawił, jak się poznaliście? Pan Zegarmistrz?

Chce się pani dowiedzieć jak poznałem moją żonę?

Jeśli to nie tajemnica.

Romantyczne historie nie powinny być tajemnicami. Wypadła mojej Anieli szpilka z włosów, a ja ją zauważyłem, bo nie była zwyczajna. Był czas, kiedy byłem ekspertem od szpilek do włosów. Teraz jeszcze ktoś je używa?

Nie wiem.

Widzi pani ile pani traci mając krótkie włosy.

Zostały rękawiczki, czapki, zawsze coś można upuścić.

Szpilka jest pociągająca na wiele sposobów.

Jak do pana zwracała się żona?

Oficjalnie Zegarmistrz, a w alkowie Cykadełko.

Widzę, że zaczęła działać pani wyobraźnia.

Pana żona wiedziała, czym się pan zajmował?

Reperowaniem zegarków.

I wierzyła, że w nocy reperował pan zegarki?

Nigdy w życiu nie traciłem nocy. Dzień jest od pracy a noc od przyjemności.

Zawsze mi się wydawało, że...

Że sejfy się otwiera w nocy? Nie ja.

Żona się nie domyślała?

Co moja kochana Aniela wiedziała, tego się już nie dowiemy. Kochała mnie.

A jak pan wpadł to...

To nadal mnie kochała. Odsiedziałem, a ona czekała. Wróciłem i zająłem się zegarkami. Naprawdę obiecałem to Anieli. I dlatego, jak pani widzi, teraz skromniutko żyję. Tylko, że ona mnie opuściła, kiedy tak sporządniałem. Widzi pani, jaki jest ten los. Zeżarł ją rak.

To smutne.

I przewrotne. No niech pani nie będzie taka poważna. Denerwuje się pani?

Ja? Nie. Trochę.

No, co ma pani na tej swojej karteluszcze.

Po wyjściu z więzienia naprawdę już więcej nie dotknął Pan sejf?

A gdyby pani została teraz fryzjerką, przestałaby pani zadawać pytania swoim klientkom? Nie korciłoby pani opisać tego? Jest pani młoda. Teraz jeszcze podnosi się pani adrenalina i dreszczyki latają po plecach, jak przepytuje pani takiego Zegarmistrza. Za jakiś czas dreszczyk minie, ale pojawi się nałóg.

Czyli robił pan to dalej?

Opuściłem bastylię mając 50 lat. Łzy Anieli przekonały mnie, że pora zostać ekspertem. I zostałem.

A Ona się zawinęła i odeszła.

Przychodzą tu do pana młodzi i pytają jak otworzyć sejf?

Skończyłem z tym jak moja żona zachorowała. Zmieniły się czasy.

Kim był pana ojciec?

Zegarmistrzem. Najlepszym zegarmistrzem, z licencją na reperację szwajcarskich zegarków. Teraz to serwisów jak psów, ale wtedy...

Ma pan rodzeństwo?

Miałem siostrę i brata.

Co robili?

Brat był księdzem. Siostra miała sklep.

Pan jeden z całej rodziny...

Siedział? Tak, a właściwie nie, mój daleki kuzyn ze strony ojca, siedział za kradzież drzewa pana. Podobno wyciął szmat lasu, a oprócz tego zbałamucił kuzynkę pana. Wsadzili go. Na południu jest taka wieś, Pączewo. Stoi do dziś tam dworek, w którym do czasu bywał mój ziomek. Chyba stoi, może pani sprawdzić.

Chodził pan do szkoły?

Trochę. Nie było jak, a potem kiedy, ale w domu były książki. Matka





mnie uczyła. A siostra zadrezczała Mozartem. W więzieniu odrobiłem to, co mi nie było dane wcześniej. Tym przytrzymałem Anielę tyle lat. Każdy kolejny list był bardziej wyszukany. Mam nadzieję, że była mi wierna.

Zostawmy Anielę w spokoju. Może skończymy to jutro. Czuję się świetnie, ale mam już swoje lata.

Dobrze.

Ha ha ha. Nie mogłaby pani być Zegarmistrzem. Za łatwo się pani poddaje. A jak jutro pani nie wpuszczę, albo stanę przed Sądem Najwyższym i będę błagał, że chcę do Anieli? Zapamiętaj kochanie, masz 20 minut i albo otworzysz sejf albo możesz go już nie zobaczyć. Zróbmy sobie zielonej herbatki i wykorzystaj szansę. Znalazłaś moją przeszłość w jakiś starych papierzyskach, straciłaś czas żeby dowiedzieć się gdzie mieszkam a teraz chciałaś wyjść. Mój Boże. Zapuść włosy. Kobieta nie jest po to by się oszpecać.

Zdradzał pan żonę?

Mężczyzna bez kobiet jest niczym.

Zdradzał pan żonę.

Mojej siostrze nauczyciel muzyki w kółko powtarzał. Słuchaj i myśl.

W którym roku poznał pan żonę?

W czasie wojny. Ślub wzięliśmy w 45r.

Zabił pan człowieka?

Otwierałem sejfy. Jak pani chciała zrobić wywiad z mordercami to pomyliła pani adres.

Siedział pan za wywiad na szkodę państwa i działanie przeciw władzy, ale zginął wtedy też człowiek.

Nikt nie zginął z mojej ręki, to oni zatłukli tego gospodarza domu.

Kto oni?

Ci, co wsadzali do więzień.

W tym sejfie były pieniądze, czy ważne dokumenty?

Nie pamiętam.

Pamięta się, jak się pierwszy raz w życiu wpada?

Nie pamiętam.

Czy zegarmistrzowie mają emerytury?

Mają.

Z czego pan żyje?

Z emerytury. Moja droga, po wojnie świat był przewrócony do góry nogami, a życiorysy całe w skazach. Jedni stawali się zegarmistrzami, drudzy przestawali, a jeszcze inni byli nimi na pół etatu.

A pan?

Jak postanawia pani z czymś skończyć to nie ma ostatni raz.

A w czasie wojny?

Rozpruwałem sejfy i handlowałem cukrem. Walczyłem o życie.

Było co otwierać. I nie jeden człowiek zginał, ale to była wojna.

Oglądałam ostatnio program pt „Pogromca mitów”. Udowodnili tam, że otwieranie sejfów na słuch to mit. Filmowcy to wymyślili.

Właściwie, co pani chce się dowiedzieć? Jak żyłem, jak rozpruwałem sejfy? Co z tym miała wspólnego pani babcia?

Chciałabym się dowiedzieć jak najwięcej, ale pan jest jak sejf.

Do 1985 jeszcze były stare sejfy, które otwierało się na słuch. Przesuwane zapadki i tryby wydawały odpowiednie dźwięki. To były sejfy rzeźbione, z ornamentami, scenkami rodzajowymi. Kiedyś otwierałem sejf z 1845 roku. Był imponujący. Cztery wieżyczki ozdabiały drzwiczki. Hasło DAL. Sejf piękny i jego właścicielka...

Tri trak pim. Każdy inny dźwięk był pustym. Z tych haseł można byłoby ułożyć wiersz. Teraz mi to przyszło do głowy. Takich słów już się nie używa, jedwab, mówka, atrament, nenufar, qui vira verra.

Spod jakiego jest pan znaku zodiaku ?

Józef Szurman urodził się 12 grudnia 1919r. Strzelec.

Józef Kapusta 31 maja 1925. Bliźniak na czas wojny.

No nie do końca. Na pocztówkach widniał podpis Z. Szurman.

A może to ktoś inny nie ja. Następne pytanie.

Był pan szczęśliwy?

Co to znaczy szczęście? To wtedy gdy się śmiejesz, czy kiedy podnosi ci się adrenalina ? A może teraz, gdy siedzę i przyglądam się pani, jestem szczęśliwy? Trzeba żyć i nie dysputować, czy to szczęście, czy nie. A może szczęście to życie? Przyniosła pani te pocztówki?

Tak.

Helenka nie odpowiedziała na żadną z nich. Miała pani piękną babcię. I bardzo dumną.

C.D.N

Pi

Ta niepozorna nazwa greckiej litery od zarania dziejów inspirowała zarówno **najtęższe** umysły matematyczne jak i wielkich humanistów. Wprawdzie jako symbol wyrażający stały stosunek długości okręgu do jego średnicy funkcjonuje dopiero od roku 1706, kiedy to po raz pierwszy walijski matematyk William Jones użył jej do określenia jednej z pierwszych odkrytych przez człowieka liczb niewymiernych (περίμετρον – perimetron, czyli obwód), to jednak zależność ta znana jest zapewne od czasu wynalezienia koła.

Pierwsze o tym zapisy znaleźć można w Starym Testamencie: „następnie sporządził odlew okrągłego morza o średnicy dziesięciu łokci, o wysokości 5 łokci i o obwodzie 30 łokci” (Biblia Tysiąclecia). O dokładniejsze wyliczenie tego stosunku postarał się m.in. Archimedes w III w.p.n.e. ($\pi \approx 22:7 \approx 3,14$), po którym w każdym niemal wieku znajdziemy matematyka wyliczającego tę zależność z coraz większą starannością.

Jak „nieobliczalna” jest to liczba niech świadczy o tym fakt, że np. w drugiej połowie XIX w. brytyjski matematyk William Shanks wyliczając ręcznie doszedł do ponad 700 miejsc po przecinku i zajęło mu to 15 lat. Jak się jednak okazało później nie ustrzegł się błędu i ostatecznie uznano za prawidłowy wynik jego pracy 527 wyliczonych cyfr po przecinku. Dziś przy pomocy komputerów można policzyć już liczbę Pi z dokładnością do kilku trylionów miejsc po przecinku ale zajmuje to wiele dni obliczeń bardzo wydajnych maszyn.

Nie sposób wyobrazić sobie otaczającą nas rzeczywistość bez znajomości tej wyjątkowej liczby i braku możliwości wyliczenia pola koła czy choćby objętości kuli. Jej dodatkową popularność należy również wiązać z kwadraturą koła – nierozwiązywalnym zadaniem z czasów starożytnej Grecji polegającym na próbie skonstruowania kwadratu,

którego pole równe jest polu danego koła przy użyciu jedynie cyrkla i linijki.

Ostatecznie udowodnił to w roku 1882 niemiecki matematyk Ferdinand Lindemann wykazując, że Pi jest liczbą przestępną czyli taką, która nie jest pierwiastkiem żadnego wielomianu o współczynnikach całkowitych – jest więc liczbą niewymierną, której rozwinięcie dziesiętne zachowuje się zupełnie dowolnie, nie ma w nim żadnego porządku i nigdy się nie kończy.

$$\pi = 3,14159265358979323846264338327950288419716939937510582097494459230781...$$

Nic zatem dziwnego, że na jej temat powstało wiele wierszyków i opowiadań, w których długość każdego kolejnego słowa jest równa kolejnej cyfrze w rozwinięciu dziesiętnym liczby Pi, jak choćby wierszyk Kazimierza Cwojdzńskiego z 1930 roku:

Kuć i orać w dzień zawzięcie,

Bo plonów niema bez trudu!

Złocisty szczęścia okręcie,

Kołysziesz...

Kuć! My nie czekajmy cudu.

Robota to potęga ludu!

Najtrafniej jednak jej istotę oddaje wiersz Wisławy Szymborskiej:

Liczba Pi

Podziwu godna liczba Pi
 trzy koma jeden cztery jeden.
 Wszystkie jej dalsze cyfry też są początkowe,
 pięć dziewięć dwa ponieważ nigdy się nie kończy.
 Nie pozwala się objąć sześć pięć trzy pięć spojrzeniem
 osiem dziewięć obliczeniem
 siedem dziewięć wyobraźnią,
 a nawet trzy dwa trzy osiem żartem, czyli porównaniem
 cztery sześć do czegokolwiek
 dwa sześć cztery trzy na świecie.
 Najdłuższy ziemski wąż po kilkunastu metrach się urywa
 podobnie, choć trochę później, czynią węże bajeczne.
 Korowód cyfr składających się na liczbę Pi
 nie zatrzymuje się na brzegu kartki,
 potrafi ciągnąć się po stole, przez powietrze,
 przez mur, liść, gniazdo ptasie, chmury, prosto w niebo,
 przez całą nieba wzdętość i bezdenność.
 O, jak krótki, wprost mysi, jest warkocz komety!
 Jak wąty promień gwiazdy, że zakrzywia się w łada przestrzeni!
 A tu dwa trzy piętnaście trzysta dziewiętnaście
 mój numer telefonu twój numer koszuli
 rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci szóste piętro
 ilość mieszkańców sześćdziesiąt pięć groszy
 obwód w biodrach dwa palce szarada i szyfr,
 w którym słowiczku mój a leć, a piej
 oraz uprasza się zachować spokój,
 a także ziemia i niebo przeminą,
 ale nie liczba Pi, co to to nie,
 ona wciąż swoje niezłe jeszcze pięć,
 nie byle jakie osiem,
 nieostatnie siedem,
 przynaglając, ach, przynaglając gnuśną wieczność
 do trwania.

Naukowcy są przekonani o „nieziemskim” charakterze tej liczby - miejmy zatem nadzieję, że wysłana w kosmos drogą radiową informacja o wartości liczby Pi spotka się z odzewem pozaziemskej inteligencji.

Jan Niezgoda

Pośrednik

z **Iwoną Pisarek**, licencjonowanym pośrednikiem w obrocie nieruchomościami, właścicielką biura **PISAREK NIERUCHOMOŚCI** w Warszawie, o blaskach i cieniach zawodu rozmawia Agata Grabowska.

Czy jest jakaś krótsza, obowiązująca nazwa zawodu, który Pani wykonuje?

Po prostu pośrednik. Niektórzy nazywają nas agentami.

Co to za zawód? Od kiedy funkcjonuje na naszym rynku?

Zawód pośrednika jako takiego jest stary jak świat. Ludzie od zawsze posługiwali się pośrednictwem przy załatwianiu różnych spraw. Weźmy takiego swata, to przecież też swego rodzaju pośrednik. A tak poważnie, jeśli chodzi o pośrednictwo w obrocie nieruchomościami, to stosunkowo młody zawód. Powstał w odpowiedzi na zapotrzebowanie społeczeństwa, które stając się właścicielami, potrzebowało fachowej pomocy przy kupnie, czy sprzedaży. Nie znam dokładnej genezy, datowałabym na początek lat 90-tych, chociaż prawnie uregulowany został kilka lat później. Ja w tym zawodzie pracuję z przerwami od prawie 17 lat.

Dziewczynki marzą o tym, żeby być piosenkarkami, modelkami, czy





nauczycielkami. Kiedy i skąd pojawił się u Pani pomysł, żeby zostać pośrednikiem?

Nie odbiegałam marzeniami od innych małych dziewczynek. W dzieciństwie chciałam być nauczycielką, mama wybrała mi zawód geodety, pośrednikiem zostałam przypadkowo. W V klasie Technikum Geodezyjnego, z powodów finansowych chciałam podjąć jakąś dorywczą pracę. W szkole na tablicy ogłoszeń natrafiłam na ogłoszenie biura nieruchomości. Zaczynałam od prac sekretarsko organizacyjnych w biurze i obserwowałam kolegów pośredników, uczyłam się i powoli wsiąkałam w to środowisko.

Czy każdy może zostać pośrednikiem? Jakie potrzebne jest wykształcenie?

Pośrednik musi być fachowcem. Musi stosować przepisy prawa, znać standardy zawodowe, posiadać wiedzę finansową, prawno-podatkową oraz ekonomiczną. Od kilku lat, od kandydata na licencjonowanego pośrednika wymaga się wykształcenia wyższego i praktyk zawodowych. Pośrednik musi ciągle się dokształcać, ale to i tak połowa sukcesu. Można być przeciętnym pośrednikiem po studiach i doskonale spełniać się w tym zawodzie po liceum uzupełnionym specjalistycznymi kursami, szkoleniami i własnym doświadczeniem. Pozostaje jeszcze kwestia osobowości, bo można nauczyć się pracy z programem, czy czytania dokumentów,

Ludzie od zawsze posługiwali się pośrednictwem przy załatwianiu różnych spraw. Weźmy takiego swata, to przecież też swego rodzaju pośrednik.

ale bez pewnych predyspozycji taka wiedza nie gwarantuje sukcesu. Można być pośrednikiem i dobrym pośrednikiem.

Jaki jest dobry pośrednik? Na podstawie Pani doświadczenia, jakie predyspozycje powinien posiadać kandydat na dobrego pośrednika, a jakie definitywnie go dyskryminują?

Dobry pośrednik, to taki, którego klient ci polecają swoim sąsiadom, znajomym, rodzinie, czyli taki któremu można zaufać. Taki, który potrafi tak słuchać, aby z kilku zdań wydobyć najważniejsze potrzeby. Predyspozycje? W pracy z ludźmi podstawą jest komunikatywność i otwartość. Poza tym oczywiście wysoka kultura osobista, umiejętność posługiwania się ładną polszczyzną. Nie bez znaczenia jest odporność na stres, spostrzegawczość, zdolność kojarzenia. Podsumowując, sukces odnoszą głównie osoby, które cenią sobie bezpośredni kontakt z ludźmi, są otwarte, optymistycznie nastawione do świata, pełne energii i nie boją się nowych wyzwań. To praca zespołowa, więc na pewno nie odnajdzie się w niej indywidualista. Również osoba niekomunikatywna, zamknięta w sobie, usiłująca narzucać swoją wolę, czy nie potrafiąca słuchać i wyciągać wniosków ma małe szanse powodzenia w tym zawodzie.

Trzeba pamiętać, że na sukces jednego klienta pracuje kilku, a czasem kilkunastu pośredników, a sprzedaje jeden.

Na czym polega praca pośrednika? Co należy do jego obowiązków?

Pośrednik dobrze przygotowany do wykonywania zawodu, w pełni kompetentny oferuje profesjonalną obsługę, obejmującą doradztwo, pomoc w negocjacjach, sprawdzanie stanu prawnego, obsługę transakcji, a w efekcie gwarantuje klientowi bezpieczeństwo. Żeby do tego doprowadzić, musi przeprowadzić wiele

rozmów mających na celu odkrycie prawdziwych potrzeb klienta, które często różnią się od wstępnych kryteriów, obejrzeć wiele ofert i spędzić wiele godzin na rozmowach przez telefon, a przy współpracy z doradcami finansowymi przygotować klienta od strony finansowej.

Zdarza się Pani mieć czas wolny? Jeśli tak, to co wtedy Pani robi?

Zdarza się, to dobre określenie. Rzeczywiście, w tej pracy nie ma go wiele. Każdą chwilę staram się poświęcić rodzinie i domowi. Odpoczywam na spacerze z psem, przy sprzątaniu i gotowaniu różnych smakołyków mężowi i synowi. Czerpię radość nawet z mycia garnków. Spotkania z przyjaciółmi, to luksus, na który mogę pozwolić sobie bardzo rzadko. Prawdziwy czas wolny mam dopiero podczas urlopu i wtedy staram się oddychać pełną piersią.

*To praca zespołowa,
więc na pewno nie odnajdzie się w niej
indywidualista.*

Czy w tej pracy jest miejsce na dowcip, humor?

Oczywiście. Poza tym, że lubimy spotykać się we własnym gronie, żeby się pośmiać, porozmawiać, odpocząć, zdarza się mnóstwo zabawnych sytuacji, których dostarczają sami klienci. Niedawno miałam klientkę, kobietę w dojrzałym wieku, która szukała mieszkania pod kątem „rokowania znalezienia męża”. Towarzyszyła jej specjalistka od feng-shui i tak naprawdę to ona decydowała.

A czy pośrednik potrafi nie rozmawiać o pracy?

(śmiech) Potrafi, ale rzeczywiście to jest trudne. Szczególnie wtedy, gdy spotykamy się we własnym gronie. Zawsze wyniknie jakiś problem do rozwiązania, jakaś sytuacja do omówienia, kogoś trzeba zapytać, komuś poradzić, ale to chyba dotyczy każdego środowiska. Poza nim łatwiej się oderwać.

Czy ta praca daje satysfakcję finansową? Pozwala żyć na wysokim poziomie?

Często słyszy się, że pośrednik zarabia dużo pieniędzy. Dużo za dużo. Ale każdy medal ma dwie strony. Z jednej satysfakcja z pomocy w spełnianiu marzeń, dobrze wykonanej pracy i godziwego wynagrodzenia, które czasem z punktu widzenia klienta nie jest adekwatne do wkładu pracy. Druga strona, to ciężka praca, często kosztem rodziny, własnego wolnego czasu, weekendów czy urlopów. To godziny spędzane na spotkaniach, setki wykonanych telefonów, ciągłe studiowanie przepisów prawnych i ogromna odpowiedzialność. Znam bardzo dobrych pośredników, pracujących wiele lat na rynku, którym czasem brakuje



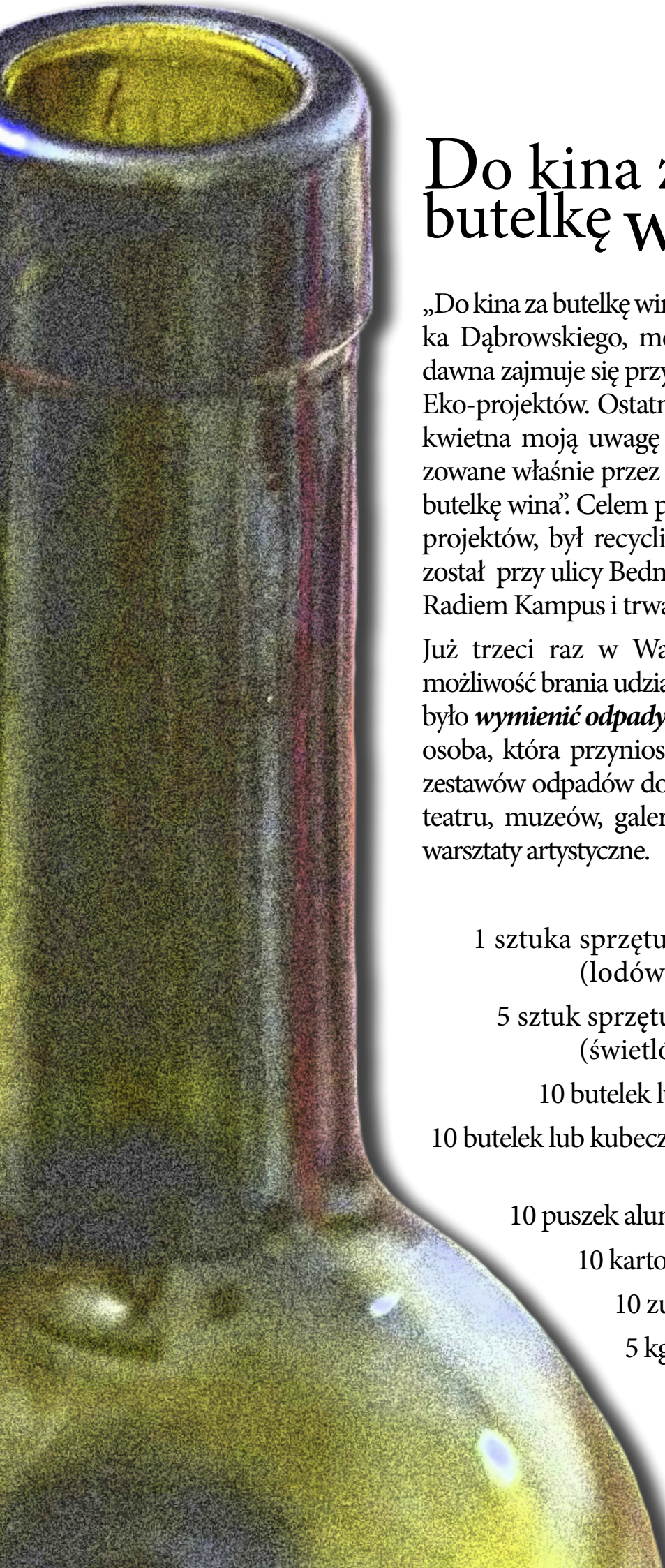
Ktoś kiedyś powiedział, że dobry specjalista nie musi się reklamować, bo sami go znajdą.

szczęścia. Trzeba pamiętać, że na sukces jednego klienta pracuje kilku, a czasem kilkunastu pośredników, a sprzedaje jeden.

Co Pani uważa za swój największy sukces?

Moim największym sukcesem są ludzie, z którymi dane mi jest pracować. Zespół, który udało mi się stworzyć, to prawdziwi, świetnie uzupełniający się specjaliści. Są najlepszą wizytówką mojej firmy. Za nasz sukces, podkreślam nasz, czyli całego zespołu uważam fakt, że grono naszych zadowolonych klientów stale się powiększa. Wszyscy doceniają nasze umiejętności, wiedzę i profesjonalizm. Ktoś kiedyś powiedział, że dobry specjalista nie musi się reklamować, bo sami go znajdą. Ta dewiza sprawdza się w przypadku mojej firmy.

Dziękuję za rozmowę i życzę dalszych sukcesów.



Do kina za butelkę wina

„Do kina za butelkę wina” to jeden z projektów Dominika Dąbrowskiego, mężczyzny który już od dawien dawna zajmuje się przygotowywaniem najróżniejszych Eko-projektów. Ostatnimi czasy, a dokładniej 16-tego kwietnia moją uwagę przykuło wydarzenie zorganizowane właśnie przez pana Dominika pt. „Do kina za butelkę wina”. Celem przewodnim, jak większości jego projektów, był recycling. Cały event zorganizowany został przy ulicy Bednarskiej 2/4, przed Akademickim Radiem Kampus i trwał od 10.00 do 15.00.

Już trzeci raz w Warszawie jej mieszkańcy mieli możliwość brania udziału w akcji, w której ich zadaniem było *wymienić odpady na „kulturalne wypady”*. Każda osoba, która przyniosła jeden z niżej wymienionych zestawów odpadów dostawała w zamian bilet do: kina, teatru, muzeów, galerii, klubów, na koncert tudzież warsztaty artystyczne.

1 sztuka sprzętu elektronicznego dużego
(lodówka, telewizor...)

5 sztuk sprzętu elektrycznego małego
(światłówki, suszarki...)

10 butelek lub słoików szklanych

10 butelek lub kubeczków plastikowych lub 40 sztuk
foliówek

10 puszek aluminiowych po napojach

10 kartonów po napojach

10 zużytych baterii

5 kg makulatury.

Agata Jasińska

Bajki Nowe

Katarzyna Bogucka

Ptyś Marzyciel

Ptyś jest bardzo nie na czasie
Czyta książek całą masę
Słowa w zdanie zręcznie składa
Zdania zgrabnie wypowiada
Do słownika także zerka
To dla niego fajna gierka
Synonimów jest bez liku
Szkoda tylko że w słowniku
Bo w użyciu tak się składa
Mało kto je wypowiada
Tyle słów wymyślił człowiek
A promuje kura, korek
Hamak, haczyk, hulajnoga
Pieprz, pierniczek, piekarzowa
Przejechany, zajechany
To jest w modzie i na chodzie
Na ulicy i w zagrodzie
Rozpoznawcze hasło ludu
Tylko jak z tym ludem gadać?
Jak uczucia swe wyrażać?
Jak o świecie konwersować?
Jak pracować jak flirtować?
I tak cierpi Ptyś- lingwista
Humanista słów hobbista

